Nr. 29. Warszawa, dnia 5 (17) Lipca 1872 roku. **ROK VIII.**

Seryja trzecia.

OPIEKUN DOMOWY.

PISMO TYGODNIOWE

sprawom wychowania, rzeczom społecznym, nauce, literaturze i sztuce poświęcone.

Cena prenumeraty:

W Warszawie:

rocznie rs. 3 kop.—
półrocznie „ 1 „ 50
kwartalnie „ 75
miesięcznie — „ 25

Na prowincyi.

rocznie rs. 4 kop. 80
półrocznie „ 2 „ 40

Opiekun Domowy wychodzi raz na tydzień co Środa.

Skład główny dla pp. Księgarzy w *Warszawie* w księgarni G. Centnerszwera ul. Marszałkowska Nr. 73; w *Poznaniu* u Leitgebera; we *Lwowie* u Wilda Karola; w *Żytomierzu* u Budkiewicza księgarza.

Biuro Redakcyi: w Warszawie, ulica Nowy Swiat Nr. 30 (nowy).

GŁOWA CZY SERCE?

W sporach, które ludzie od wieków z sobą toczą czy to w poufnej pogadance czy też w rozprawie pół-naukowej pół-pospolitej, jedno z miejsc wydatniejszych zajmuje kwestyja znaczenia, wpływu i doniosłości, jakich w życiu prywatnem i publicznem nabierają lub nabierać powinny dwa główne czynniki bytu psychicznego: uczucie i rozum. Jeżeli są gdzie istoty sentymentalne, z sercem otwartem dla pszyjmowania wzruszeń najróżnorodniejszych, pragnień nieujętych, popędów niby to stałych a zwykle gorączkowych tylko, to cała ich sympatyja przyczepia się ślimaczo do tego uroczego, choć zużytego już po części wyrazu: *serce*, wyśpiewując go i modulując na różne tony z tem zawsze głębokiem, jakkolwiek niewyrozumowanem przeświadczeniem, że ono stanowi panaceum na wszystkie choroby ludzkości bez względu na to, jakie wywołały je przyczyny i jaki był ich przebieg. Rozumowanie tych ludzi zajmujące i słodkie przemawia głosem matki, która dzieci swe godzi spojrzeniem łagodnym, i czułym uśmiechem nie wiele wyrazów szafując. Tak, wszystko jest piękne i wzniosłe, kiedy je opromieni uczucie, nawet błędy przestają mieć cechy ujemne, jeżeli się w nich spół-udział szlachetnych uczuć wykaże. Kto potrafi zliczyć wszystkie *poświęcenia*, wszystkie owe ciche, niepokaźne a wielkie czyny, które nie oczekają innej nagrody, prócz tej, jaką w sobie mieści uczucie spełnienia wzniosłych obowiązków. Uczuć serca niczem niepodobna opłacić, są to kapitały hojnie pomiędzy zimnych spół biesiadników uczty życia rozdzielane a żadnego nie przynoszące procentu. Bezinteresowność jest stemplem wyciśniętym na każdym dziele serca. Miłość jest rzeczą czystą, nieskalaną, unosi nas w krainę ideałów, by tam się poić widokiem nie dzieł najrozumniejszych ale popędów najbardziej uczuciowych.

Jeżeli chcemy znaleźć zadowolenie wewnętrzne, jeżeli nam idzie o spokój i szczęście bez krzyków, bez hałasu, jeżeli chcemy poprzestać na tem co dobre i piękne i bez wielkich pretensyj na przyszłość, to szukajmy przedewszystkiem serca a nie zwracajmy uwagi na napomnienia zimnego rozumu, który burzyć umie ale niczego zbudować nie potrafi. Co ludziom po wielkich zdobyczach naukowych, po dalekich odkryciach jeograficznych i zdumiewających cudach mechaniki, co po zaciekaniach w sferze filozofii, co po wywodach lingwistycznych i sporach gramatycznych, co po poszukiwaniach dzisiejszych przekonywających nas coraz jaśniej i dobitniej, że nieszczęścia były, są i będą po wszystkie wieki wieków? Po co ten cały arsenał naukowy, najeżony terminalogiją dziwaczną, nieprzystępną, odstraszającą, okopany wiadomościami wstępnemi jakby fosami i wałami broniącemi przystępu do twierdzy, której klucz znajduje się w ręku nader nielicznej garstki wbrańców? Po co to wszystko, jeżeli serce niespokojne nie może się doszukać tego błogiego stanu, w którym pragnienia będą faktem spełnionym, w którym aspiracyje nie spotkają złośliwego oporu w śród chłodnej rzeczywistości, karmiącej niewybrednych strawą uczuć poziomych i hardą arrogancyją rozumu? Nie ma spokoju, zadowolenia, szczęścia. Rozum stanowi wieczny dyssonans w tej pięknej harmonii, jakąby na strunach serca wygrać można. Pod jego tchnieniem kwiat uczuć więdnieje i usycha, zapał przechodzi w temperaturę lodu, miłość się wynaturza, dzieła wiekopomne maleją, niepewność, rozczarowanie i obojętność rozsiada się jakby na tronie, a społeczeństwo z takich członków złożone staje się rachunkowem i praktycznem, przebiegłem i przemysłowem, potężnem materyjalnie;—ale słabiuchnem duchowo, kulawem gdy idzie o czyny heroiczne—ślepem na cele wzniosłe. Poziom ducha obniża się do zera, bo niema tego głosu, coby wołał bezustanku: *excelsior!* Tak szepcą z cicha uczuciowi.

Głos rozumu jest donośniejszy i bardziej stanowczy, znamionują go: pewność siebie, siła przekonania, potęga prawdy cechująca wszystko, w czem pierwiastki jego napotykamy. Niektórzy dostrzegają w nim zgrzyt stali i jęki rannych. Nieubłagany jest jak logika, nieprzeparty jak skała. Rozumowanie to nie wznosi się do szumnych tyrad, do wyskoków przesady, nie ucieka się pod opiekę egzaltacyi, ale idzie prosto do celu, szeregując w umyśle niezliczone fakta, których prawda równa się ich nieodwołalności. Rzućcie, powiada, okiem na cały bieg cywilizacyi przejrzyjcie wszystkie ulepszenia, przypatrzcie się obalonym bałwanom, zaniechanym przesądom, wykrytym fałszom, zużytkowaniu sił przyrody, udoskonaleniu nauk, sztuk i przemysłu, sieciom kolei żelaznych i linijom tele-

---

ŚLADY ŻYCIA.

XVI.

Tyle życia, ile w czynie.

Utwory wielkich mistrzów słowa, tonu czy pędzla, których sława szeroko się po świecie rozniosła, wywierają wpływ na ludzkość w sposób podwójny. I tak—wartość ich wzięta sama w sobie, jest olbrzymia: myśli i obrazy, jaśniejące wszystkiemi blaskami gienijuszu wyżłabiają niestarte ślady w umyśle czytelnika, słuchacza lub widza i towarzysząc mu bezustannie jak anioł-stróż w legendach, przemieniają się w jego istotę duchową tak nieodpornie, że częstokroć zastanawiając się później nad jej treścią, trudno odróżnić swój własny zasób życiowy od zasobu, który nagromadziło w nas odczytywanie dzieł mistrzowskich. Ale to jeszcze mało. Byłby to wpływ każdego utworu, któryby zawierał w sobie dobrze utrafione rysy epoki, chociażby nawet długoletniej sławy, przekazywanej z pokolenia w pokolenie nie nabył. Płody mistrzów, którzy dawno juz żyli przed nami, wciskają się do duszy naszéj nie same, towarzyszą im myśli, zdania, zachwyty i natchnienia tych wszystkich, co przez lata a częstokroć wieki całe czerpali z nieprzebranéj krynicy piękna; one to nadają im ów dziwny urok, jakim przejmują nas dzieje zamierzchłéj przeszłości i podnoszą znaczenie i potęgę ludzi do wyżyn bohaterstwa. Goethe dla spółczesnéj generacyi, należy już do tego rodzaju autorów. Nim kto przystąpi dzisiaj do odczytywania dzieł jego, przeszedł poprzednio szkołę przygotwawczą, którą składały zdania nauczycieli, kolegów, literatów i t. p. i wytworzyły w umyśle jakieś pojęcie wielkości, nieskończoności i niezwykłéj powagi. Stosownie do stopnia wpływu, jakiemu umysł podlegał, przedstawia się i stopień wrażenia, jakiego doznaje przy odczytywaniu arcydzieł. Nikt się uwolnić nie może od tego spadku, przekazywanego nam przez ciągły bieg dziejów.—Myśli te cisnęły się nam do głowy przy odczytywaniu poematu Goethego *Herman i Dorota* w przekładzie p. *Jenikiego*, którego druk ukończony został w N. 235 *Tygodnika Illustrowanego*. Niesłychana a ujmująca prostota sytuacyj, podniesiona wyrażeniami bez pretensyi ale i bez zaniedbania; dzielność i wykończenie artystyczne charakterów, z których każdy staje jak posąg w umyśle czytelnika; pogoda myśli i spokój wśród dalekiéj perspektywy huraganów i rzezi (jest to historyja wygnańców francuzkich za czasów pierwszéj rewolucyi, przyjętych gościnnie za Renem):—tworzą świat poetyczny pełen czarów i wdzięku, który tem silniejsze wywiera wrażenie, że jest idealnym obrazem najgorętszych pragnień ludzkości. Panuje tu powaga; ale powaga homerowska, nie wykluczająca swobody i żartu; na scharateryzowanie jéj dosyć tych trzech wierszy:

Ale zacny ksiądz pleban, uchwycił najprzód dłoń ojca. I pamiątkę dnia ślubu—obrączkę, z palca mu ściągnął. (Nie tak łatwo to poszło, bo palec był pulchny i gruby). Potem od matki wziął drugą i t. d.

Niepodobna w krótkiéj wzmiance, wyliczyć wszystkich szczegółów, charakterystycznych i wielkich, tego najbardziej wykończonego dzieła Goethego, ciekawych odsyłamy do bszernego rozbioru, który Lewes pomieścił w jego życiorysie (tłomaczenie p. Nowosielskiego. Petersburg 1860). Jest to według

graficznym; ocenćie ten postęp, jakiego dokonała ludzkość od okresu kamiennego począwszy aż do czasów najnowszych, w których założono linę telegrafu zaatlantyckiego, a będziecie mieli obraz zmniejszony w prawdzie ale mniej więcej pełny dzieł dokonanych na podstawie rozumu. Nie potrzebujemy tu mówić o łzach i goryczach, o zawodach i klęskach, o cichych poświęceniach i szumnie zapowiadających się zbrodniach; rozum nic nie zyskuje na użyciu hiperboli i nie błaga poezyi, by ślady jego pochodu w rymach rozsławiała. Ślady te są dotykalne, każdy bez trąby herolda i lutni śpiewaka może je obejrzeć i jeżeli zechce podziwiać. W ocenie swojej użyteczności nie stawia szarad do rozwiązania jak uczucie—i domysł gra tu rolę podrzędną; wszystko jest jasne, konsekwentne, dowody są niezbite. Ażeby dać pojęcie o postępach rozumu, dosyć jest zbudować gmach i obwołać wystawę; czy uczucie pośle tam swoje wyroby? dodają z urąganiem, które w duszach czułych rozlega się jak syk jadowitego węża.

Czy w rzeczywistości istnieje taki radykalny antagonizm pomiędzy jedną a drugą stroną naszej duchowej istoty?—pozwalamy sobie wątpić. Zdaje nam się, że zrobiono sztuczny przedział, powiększany z dniem każdym szumną frazeologiją, dzielącą ostatatecznie ludzi na dwa wrogie obozy, dla tego z sobą walczące, że się nawzajem nie rozumieją, chociaż nie podobna znowu zaprzeczyć, żeby w sporze, którýśmy tu podjęli nie było i pewnych rzeczywistych różnic dających powód do straszliwego alarmu.

Człowiek jest jednością organiczną; w stanie zdrowym, normalnym wszystkie funkcyje odbywają się prawidłowo i zgodnie ze sobą, żadnej przewagi, żadnej rozterki pomiędzy niemi niema. Umysł jego jest również jednością; świat zewnętrzny wyciska na nim pewne piętna, które stają się materyjałem dla uczuć i myśli. Człowiek zapatruje się z początku na świat z punktu widzenia osobistej przyjemności albo przykrości, każden przedmiot działa nań w tym dwojakim kierunku. Nie obchodzą go w danej chwili wszystkie inne własności tego przedmiotu, ale te tylko, które zrobiły na nim takie lub inne wrażenie. Jeżeli dziecko skaleczy sobie rękę, to go bardzo mało obchodzi, że nóż, który był przyczyną niemiłego wrażenia, jest rzeczą nieżywotną, ono rzuca go ze złością, jakby szukając zemsty za ból sprawiony w odwecie. Nóż wtedy jest szkaradny, brzydki, chociażby najpiękniejszą miał powierzchowność. I nietylko dzieci tak postępują. Posłuchajmy ludzi namiętnych, zwłaszcza kobiet, które w gniewie sąd o jakimś człowieku wydają. Nie chcą one wtedy widzieć w nim żadnej strony dodatniej, żadnej zalety; patrzą na wszystko przez ciemne okulary swej antypatyi; kryteryjum sądzenia jest w nich naówczas nie rzetelna prawda, nieloiczna argumentacyja ale wyłącznie i jedynie podrażnione uczucie; co się tu powiedziało o uczuciu nieprzyjemnem równie dobrze zastosować się daje i do przyjemnego, z tą naturalnie różnicą, że zamiast ciemnych ludzie wkładają różowe okulary.

I ci ludzie kłamią; t. j. mówią to co myślą w danej chwili; niepodobna im zarzucić hipokryzyi; należy tylko wykryć podmiotowość ich rozumowania. Uczenie właśnie jest niczem innem jak *podmiotowem myśleniem*. Ani w genezie ani w rozwoju nie można oddzielić dokładnie dwu pierwiastków ściśle z sobą spojonych: podmiotu tej osoby czującej i myślącej i przedmiotu tej rzeczy lub zjawiska, od którego pewnego czucia doznajemy, co stanowi pierwszy stopień poznania. Charakterem uczucia na tym stopnia i uczucia w ogóle jest tak zwana *instynktowość* t. j. przeczuwanie pewnych zmian bez rozumowego ich uzasadnienia. Instynktowość ta w czasach pierwotnych była jedyną dźwignią postępu i kierowała wszystkiemi czynami ludzkiemi. Świat czarów i guseł, świat bogów i bohaterów, jest owocem tego podmiotowego, czuciowego poznania, tłomaczącego wszystkie zjawiska przyrody na podstawie tych sił, które *w sobie* zaobserwowano a raczej uczuwano. Z biegiem atoli cywilizacyi instynktowość traci powoli swoje znaczenie; prawa wyprowadzone z badań doświadczalnych stają się skazówką działania na przyszłość. Kraina rzeczy nieznanych, niewytłomaczonych, cudownych, w których lubują się umysły niewykształcone, usuwa się w głąb, a jej miejsce zajmuje gmach wiedzy jasnej, ściśle określonej i konsekwentnej w swych sądach i wnioskach. Jak w stanie pierwotnym nie było antagonizmu pomiędzy uczuciem a rozumem, tak też być go nie może przynajmniej nie powinno w dobie rozwiniętej oświaty. Prawdy rozumu przyjąć należy z takim samym uznaniem jak przyjmowano niegdyś mrzonki instynktowości. Ci tylko co nie umieją pogodzić swoich myśli i przekonań dawniejszych z prawami przez naukę wykrytemi, ci tylko kopią niewypełnione przepaści, które na karb rozumu i serca bezpiecznie zapisują, nie dbając ani o prawdę ani o loikę, jak to jest w ogóle cechą podmiotowego myślenia. Powiadają że uczucie *oburza* się na niektóre zasady, przez rozum najaw wydobyte? Cóż to znaczy? Zdaje się, jestto skutkiem przyzwyczajenia, nałogu. Jak człowiekowi nałogowemu trudno, bardzo nieprzyjemnie *odzwyczajać się*; tak też człowiekowi, który wzrósł w pewnych ideach, przykro jest pozbywać się ich w posuniętym już cokolwiek wieku. To co jest prawdą, nie może oburzać naszego uczucia, gdyż uczucie nasze nie stanowi jakiegoś drugiego żywiołu, któryby zawsze na przekór rozumowi postępował. Jestto frazes podobny do owego średniowiecznego twierdzenia fizyki: natura nie cierpi próżni (natura horret vacuum).

Powiedzieliśmy już w *przekonaniach*, że uczucia zamienione w popęd, są jedyną pobudką naszych czynów. W sferze tych ostatnich zwolennicy niezmąconego uczucia podnoszą przedewszystkiem słowo *poświęcenie* i tak nim wywijają, że w końcu mogłoby komuś przyjść na myśl, jakoby ludzie rozumni nie zdolni byli do poświęceń. Przedewszystkiem zastanówmy się nad tym wyrazem. Jeżeli nie chcemy bujać tak wysoko, że wreszcie ziemię stracimy z oczu, to w wyrazie tym odnajdziemy jedynie pojęcie wyrażone słowami: poświęcenie jestto spełnienie pewnego czynu dla ogólnego dobra z pominięciem najbliższych własnych korzyści. Nie można zdaje się nadać szerszego i wznioślejszego znaczenia temu tylokrotnie powtórzonemu wyrazowi. Czy tu doszukamy się tej bezinteresowności, która ma być niejako cechą każdego szlachetnego uczucia? Nie! widzimy w poświęceniu zadowolenie własnych popędów, które każą nam więcej dbać o ogół aniżeli o siebie w pewnym danym wypadku. W każdym razie *myśl o sobie* stoi na pierwszym planie. Niejestto paradoks albo antyteza; ale najistotniejsza przyczyna naszych czynów. Cóż bowiem znaczy, że uczucia nasze są nam pobudką do działania? Oto, że zadowolenie tych uczuć jest rzeczą najpierwszą w całem naszem życiu. Im te uczucia są szlachetniej-

---

nas najlepsza ocena tego utworu. Co się tyczy samego przekładu, to już pisaliśmy o nim zaraz z początku, robiąc kilka uwag nad niezbyt ścisłem trzymaniem się praw rytmicznych. W dalszym ciągu nie znaleźliśmy już rażących błędów, chociaż dość często rytmiczność była pogwałcona. W każdym jednak razie, przekład p. *Jenikiego* jest o wiele wierniejszy i poetyczniejszy nawet od tłomaczenia nieprawidłowego, którego dokonał przed laty blisko trzydziestu Antoni Czajkowski. Illustracyje *Tegazza*, bardzo starannie wykonane uplastyczniają słowa; zauważyliśmy tylko brak silniejszego zaakcentowania w twarzy różnic osobistości.

* * *

Czytamy w Kurjerze Lubelskiem: w dniu 29 czerwca roku bieżącego we wsi Łańcuchowie w powiecie Chełmskim miał miejsce szczególny obrzęd, jedyny i pierwszy może u nas: obrzęd rozdania nagród dobrym służącym. P. Klemens Paprocki dzierżawca dóbr Łańcuchowa, przeznaczył po rs. 7 k. 50 nagrody dla każdego ze służących, którzy przebyli u niego po lat 6 Po skończonem więc nabożeństwie—w obec dość licznie zebranych włościan—i w obec władz miejscowych, oraz kilku obywateli, miejscowego proboszcza i innych gości, w ogrodzie dworskim w przystrojonéj obszernéj altanie – po przemowie stosownéj samego gospodarza, jakoteż obecnego tam Prezesa Dyrekcyi Szczegółowéj JW. Bielińskiego, przyzwane z nazwisk i imion 10 osób służby dworskiéj z rąk JW. Prezesa otrzymali każda wzmiankowaną nagrodę. Następnie obecny tam także jako gość profesor W. Dawid w kilku słowach skreślił cel i ważność téj uroczystości—zachęcając obecnych kilku obywateli do naśladowania tego czynu, jako z czasem mogącego stać się dzielnym środkiem pobudzenia służących do sumiennego pełnienia obowiązków — oraz przedstawiając nagrodzonym piękność i zaszczyt téj nagrody, która przez całe ich życie będzie chlubnem dla nich świadectwem, prawości i gorliwości w pracy.

Takie postąpienie p. Paprockiego, godne powszechnego rozgłosu—zapewne będzie naśladowane, ale tylko tam gdzie cel podobny należycie zrozumiany zostanie.

Może zwróconą zostanie uwaga czytelnika na nasze wyrażenie: *gdzie cel zrozumiany zostanie.*. Nie wyraziliśmy się tu bez myśli. Wiemy że p. Paprocki chcąc uświetnić ów obrzęd, pozapraszał okolicznych obywateli z rodzinami, w celu nadania nagrodom wyższego znaczenia, i przez stosowne wyjaśnienie skutków rozszerzyć kółko naśladowców; ile że taki środek nagrody—z pewnością podźwignąłby moralną stronę służących, i dałby im zachętę do pracy, wierności i zostawania jak najdłużéj na jednem miejscu,—przeciąg bowiem czasu najwięcéj wpływa na przyzwyczajenie się do miejsca pobytu, co już samo, przy dzisiejszéj trudności o dobrą służbę daje niemałe gospodarzowi korzyści. Nie chciano atoli tego zrozumieć, nawet na zaproszenie, tylko kilku ziemian przybyło—a i z tych niektórzy tak pięknego oraz pożytecznego celu nie mogli czy też nie chcieli zrozumieć.

* * *

Wszystko na tym świecie jest możliwe, wszystko prawdobodobne. Cnota może być nagrodzoną, skazaną na zapomnienie albo nawet na gorycze i zawody, występek przechadzać się może zarówno w purpurze jak i w łachmanach żebraka. Przekonanie takie sprawdza się na każdym kroku, ale nie przynosi innéj pociechy nad tę, że należy się poddać konieczności, jeżeli jéj uniknąć niepodobna. Kto zaś chce podziałać na umysły i wnieść w nie błogi spokój, wzruszając szlachetne struny serca, ten musi postąpić sobie tak jak autor dramatu przedstawionego niedawnego w *Alhambrze* p. n. *Ubodzy w Paryżu.* Bankier który zmyslonym bankructwem naraził majątek i życie wielu osób, który wydarł 250,000

sze, im więcej oczyszczone są z przymieszek *grubego* egoizmu, tem skutki z zadowolenia ich wynikłe będą zbawienniejsze dla danego społeczeństwa. Bo każdy zdaje się, najzapaleńszy nawet stronnik czystego uczucia przyznać musi, że serce poprowadzić może i na bezdroże, skąd niema innego wyjścia prócz śmierci,— może natchnąć poświęcenia najnierozważniejsze, które społeczeństwu żadnego nie przynoszą pożytku. Miarą zaś dobra na ziemi nie jest obfitość łez, westchnień i krwi, ale ilość zdobyczy prowadzących do polepszenia bytu materyjalnego i umysłowego.

Tu właśnie jest miejsce dla doświadczenia i dla opartej na nim *przedmiotowej* oceny środków i celów, które w łączności swojej dobrobyt ten sprowadzają. Kto nic nie doświadczył, ten żyć praktycznie nie zdoła; kto się czepia wiotkiego powoju uczucia, ten w altanie tylko nie zaś na arenie życia może być miłym i pożytecznym. Doświadczenie rozjaśnia nam wszystkie okoliczności w których znajdować się będziemy zmuszeni; jest źródłem całego postępu, którego owoców obecnie używamy. Jeżeli w jakim społeczeństwie strona uczuciowa jest zbyt szeroko w stosunku do rozwoju rozumowego wykształcona; jeżeli ona jest podstawą sądów, wniosków i czynów; to obowiązkiem jest zwracać uwagę na tę wadliwość w moralnym organizmie jego, ażeby nie szukać po omacku i nie zakładać swych nadziei na przeczuciach instyktu wówczas, kiedy inne społeczeństwa na dokładnej rachubie i na wypływającej stąd pewności siebie i energii działania swe opierają.

Taki pogląd nie zaprzecza bynajmniej uprawnienia uczucia w sferze mu właściwej; nie każe stawać się człowiekowi granitowym pomnikiem, na którym możnaby wyryć symbol miary i wagi z tym podpisem: co się nie da zważyć i z mierzyć, to nie powinno mieć znaczenia. Bynajmniej! Wiemy bardzo dobrze, że człowiek dąży przedewszystkiem do zadowolenia siebie samego, że podmiotowość, uczucie jak były tak i będą najgłówniejszemi czynnikami naszego życia, że wyrugować je znaczyłoby to przeistoczyć z gruntu naturę ludzką. Pamiętać tylko trzeba, ażeby te wiotkie i zmienne własności naszego umysłu nie były wyłącznemi regulatorami naszych czynów, azeby w nich nie upatrywać jedynych nieomylnych i rzeczywistych środków wszelkiego powodzenia.

Rozum odbywa podwójną czynność: oczyszcza pierwiastkową instynktowność z plew przypadkowości i wykreśla jasno cele, ku którym zdążać ma społeczeństwo, wskazując mu zarazem drogę dojścia do nich. Poświęcenia w znaczeniu takiem, jakeśmy je powyżej określili, nie wyklucza bynajmniej, zaliczając je do *obowiązków społecznych*, a zatem podpisując je pod kategoryją cnoty w przeciwstawieniu do postępku...; nie rozrywa węzłów rodzinnych, spojonych najserdeczniejszemi uczuciami, gdyż głośno wyznaje, że społeczeństwo tylko na rodzinie oprzeć się może; nie śmieje się ironicznie z prawdziwego zapału, gdyż widzi w nim pełne zdrowie duszy; nie ciska błotem na bezsilnych i zrozpaczonych, gdyż wie, że i genijusze mają swoje chwile słabości. Ale natomiast nie opuszcza rąk, nie oddaje się apatycznemu niedołęstwu, nie czołga się przed silniejszym dla tego, ażeby sobie znikomą chwilkę szczęścia przysporzyć; lecz oparty na wskazówkach doświadczenia zbiera powoli materyjały, które kiedyś do nowej budowy posłużyć mu mogą. Kto w ten sposób działalność rozumu pojmuje, ten nigdy nie postawi go w antagonizmie z wzniosłemi uczuciami serca.

PAMIĘTNIKI PANA SYMFORYJONA.

Z notatek po nim pozostałych

SPISAŁ

Walery Przyborowski.

ROZDZIAŁ II.

Jako pan Zygmunt wahając się długo, ożenił się wkrótce z Sabinką.

Już to czyste utrapienie mam z tem mojem pisaniem. Myśl, łam sobie głowę, żeby to jakoś po ludzku wyglądała ta moja opowieść, nie miej chwili wolnego czasu ani rozrywki żadnej, dla tego, że się twojej pani tak spodobało. Ot, czego to człowiek nie robi dla miłego spokoju! Całemi godzinami nieraz myślę, układam sobie w głowie, nie mogę spać po obiedzie, źle nawet trawię — jeszcze się rozchoruję i będzie bal! Ale cóż tu poradzisz? Elżuni się zachciało żebym pisał, więc pisz Symforyjonku, choćbyś miał się rozchorować a co gorsza umrzeć! Kiedy o tem myślę, czuję, że mi się na płacz zbiera.

Wracając do rzeczy, muszę tu powiedzieć, że tak Sabinka jak pan Zygmunt coraz więcej się ku sobie mieli. Dziewczyna, kiedy jej było o nim wspomnieć rumieniła się jak wiśnia, oczęta spuszczała na dół i bawiła się swoją sukienką, rada o nim słuchała i gdy go zobaczyła to patrzyła weń jak w święty obrazek. Co gorsza, to teraz mniej zajmowała się przygotowaniem różnych przysmaczków, cisnęła w kąt panią Ćwierczakiewiczową, Kuryjerka Warszawskiego i Świątecznego nie z takim zapałem czytywała, a wzięła się do poezyi Mickiewicza, Słowackiego i innych tam literatów, bo chciała się przypodobać panu Zygmuntowi—słowem na czysto ogłupiała. Nie darmo też to ludzie mówią, że zakochany a głupi to jedno. Na domiar wszystkiego, zaczęła blednąć, jakieś ciemne plamy pod oczami jej się porobiły, stała się smutną, rozmarzoną, rozmazgajoną jakąś... Elżunia mówiła, że jej z tem lepiej, że ładniej wygląda, że miłość ją moralnie i fizycznie uszlachetnia. Ja zaś sobie myślałem:

— Pfuj! na kiego djabła zdała się taka miłość! zaczyna czytać głupie romanse i poezyje, które jej tylko w głowie przewrócą i przyczynią się do utracenia onego kosztownego zmysłu praktycznego jaki posiada, a do Sabinki jakiem ją tylko obaczył mówiłem:

— Pięknie mi Sabinko wyglądasz — jak śledź! Z dziewczyny jak krew z mlekiem zrobiłaś się jakąś romansową *Dorydą*. Chcesz się kochać, ano to się kochaj ale rozumnie, nie rób głupstw, nie czytaj tych banialuków, bo to funta kłaków nie warte. Że pan Zygmunt ma przewrócone w głowie, to nic dziwnego, bo żyje z temi półgłówkami od Bonifratrów—ale ty, miejże rozum! Masz przed sobą wielkie zadanie przerobić go, wykierować na porządnego obywatela—ale jak zaczniesz w taki sposób postępować, to z was obojga nic nie będzie— adiu Fruziu!

— Mój szwagrze, proszę mi dać pokój! ja wiem co robię.

— Ano kiedy wiesz, to sobie rób jak chcesz.

I od tej chwili postanowiłem już nic nie radzić — nie tak jednak, żeby całkiem odsunąć swoją rękę i nie wpływać na tok tej sprawy, ale nie przyznawać się do tego głośno. Chcia-

---

franków rodzinie bez wniesienia tej sumy w księgi kasowe musi być ukaranym, gdyż publiczność wychodząca z teatru nie miałaby żadnego miłego wspomnienia wracając do domów na spoczynek. Z drugiej strony rodzina owa poszkodowana na majątku, przecierpiawszy tysiączne biedy, musi być wynagrodzoną w sposób świetny, t. j. musi widzieć upokorzenie winowajcy w obec ludzi obcych i własnej córki, musi widzieć przestrach, ściągający konwulsyjnie rysy jego na widok ręki sprawiedliwości, która go na miejsce kary ma zaprowadzić. Tak jest, niepodobna inaczej postąpić, nie chcąc narazić sztuki na upadek. Ostatecznie jednakże, treść podobna w suchej ocenie sprawozdawczej, zacieśniona do najprostszego swego wyrażenia, nie miałaby wielkiego powodzenia pomimo sympatycznej zmiany wypadków, a to z powodu zbyt wielkiej zużytości tematu. To też autor umiał urozmaicić monotonność wrażenia scenami pomyślanemi wybornie, jakkolwiek nie zawsze szczęśliwie uzewnętrznionemi, chociaż tę ostatnią wadę możnaby przypisać tłomaczowi, który zbyt pośpiesznie i nieumiejętnie pracę swą wykonywał. Jako próbkę takiej sceny można przytoczyć taki fakt. Do biednych zupełnie biednych nie mających żadnych widoków na dzień jutrzejszy przychodzą po składkę. Wyobraźnia czytelnika powinna odtworzyć sobie wyraz fizyjonomii owych ludzi, którzy zachowali tylko pozory zamożności a w gruncie rzeczy są biedniejsi od żebraka spodziewającego się dostać jałmużnę, rozpacz ich na samo wspomnienie, że niczem biednych wesprzeć nie mogąc, narażą się na posądzenie o zatwardziałość serca, o nieużytość. Ubodzy w czarnym tużurku mają chwilę tragizmu, którego sile nie zrówna nędza rozpozcierająca się po bruku jawnie, z odkrytym nieraz bezwstydnym czołem.

Artyści po większej części szczęśliwie się z zadania swego wywiązali, oklaski zbierał głównie p. *Carmantrant,* który w roli spólnika zbrodni bankiera, a następnie żebraka wzbudzał silne wrażenie grą pełną werwy i przejęcia się sytuacyją. Zarzucićby mu można tylko ruchy zbyt gwałtowne i niepotrzebne przekrzywiania się, które niekiedy przechodzą w karykaturalność. Uwagę tę robimy tylko z czysto artystycznego stanowiska, gdyż publiczność wychodziła z widowiska najzupełniej zadowolona.

* * *

Z okoliczności egzaminu odbytego w dniu 10-go lipca, zwiedzaliśmy w Mokotowie zakład znany powszechnie pod nazwą instytutu moralnie zaniedbanych dzieci. Ustawa zatwierdzona jeszcze w roku 1834 pozwala na przyjmowanie dzieci, których wiek nie przechodzi lat czternastu. W niektórych paragrafach ustawy jest wzmianka o dozorze nad *dziewczętami*, z czego możnaby wnosić, że i te do zakładu przyjmują. Tymczasem, jak nas zapewniał dyrektor instytutu, od czasu jego założenia ani jedna osierocona dziewczyna nie znalazła tam pomieszczenia. Czyż by stąd znowu wnioskować należało, iż dziewczęta pozbawione w bardzo młodym wieku rodziców, lub też córki rodziców żyjących w nędzy nie ulegają tym samym zboczeniom moralnym, dla których naprawy istnieje zakład mokotowski? Wątpimy. Sądzimy przeciwnie, że dziewczęta strącone w to położenie, które popycha chłopców do przestępstw, spotyka los daleko smutniejszy, bo los, którego zmiana od nich już prawie nie zależy. I dla tego uważamy za stosowne, żeby zakład mokotowski przeznaczył także miejsc kilkanaście dla dziewczątek, znajdowanych po ulicy, bez żadnej opieki. Myślą założycieli instytutu nie było wcale wykluczanie z pod jego opieki dziewcząt, skoro ustawa wyraża się ogólnie o *dzieciach* a w jednem czy też kilku miejscach mówi wytaźnie o *dziewczętach.* Widzimy więc, że z zakładu nietylko sami chłopcy korzystać powinni.

Co do chłopców, których znajduje się około 50, dla tych instytut jest prawdziwem do-

łem ich bowiem koniecznie połączyć, bo widziałem w onczas szczęście Sabinki w takim związku. Żebym to był wiedział co się później stanie!..

Z drugiej strony nie wierzyłem ja tam bardzo, w to romansowe zajęcie się waryjacką literaturą. Myślałem sobie:

— Dziewczyna młoda, ognista, naiwna, zakochała się, co nie jest wcale dziwnem, i chce się przypodobać panu Zygmuntowi, ale jak się pobiorą, jak miłość powoli wywietrzeje, to Mickiewicze, Słowaccy i inne djabły, w kąt pójdą, a wróci na ich miejsce pani Ćwierczakiewiczowa i wszystko znów będzie dobrze.

Tak się też i stało, jak to później obaczycie na nieszczęście nasze.

Pan Zygmunt także widocznie pokochał się w Sabince. Nie tylko, że nie opuścił odtąd żadnéj środy u mnie, że był zajęty wyłącznie Sabinką, z nią jedynie rozmawiał, nie wtrącał się już do uczonych rozpraw, ale nawet począł bywać w domu matki, chodzić z Sabinką i wdową Pauliną na spacery, przynosił książki, kwiaty, cukierki, i t. p. Gdy była mowa o Sabince to z przyjemnością jej słuchał, gdy zaś o czem innem, nie uważał, roztargniony jakiś, zadumany. Począł nawet w pismach jakieś czułe poematy pisać o gołąbkach, sercu, oczach lazurowych, ustach koralowych i djabli nie wiedzą o czem tam jeszcze. Wszyscy znajomi i blizcy wiedzieli doskonale, że te madrygały odnoszą się do Sabinki—ona je pożerała, na pamięć się uczyła. Mnie się to nie podobało. Myślałem sobie bowiem, w czem każdy rozsądny człowiek mi przyzna, że miałem racyją, że takie pisaniny po publicznych pismach o Sabince, o któréj się nawet nie oświadczył dotąd nikomu, nie zaręczył, z którą go żadne prawne ani społeczne nie łączą związki, mogą tylko szkodzić dobrej sławie panny, tym więcej jeżeli się to kiedyś rozchwieje i na nic nie zda. Zwróciłem na to uwagę mojej Elżuni, żeby ostrzegła pana Zygmunta. Ale ona, jak to u kobiet włosy długie, rozum krótki, odrzekła mi z oburzeniem:

— Co ty kpisz chyba Symforyjonku! a skądże ty wiesz, że to się odnosi do Sabinki — przecież nie ona jedna ma oczy niebieskie i usta różowe.

— Ano juścić ja wiem, ja wiem—boć przecie pan Zygmunt się kocha w Sabince i nie mam ja nic przeciwko temu, żeby się kochał, żeby się nawet pobrali, ale dopóki to nie nastąpi niechże nie pisze o tem, nie rozgaduje.

— Ty masz chęć, żeby oni się pobrali — a czy wiesz Symforyjonku co to znaczy złączyć dwoje ludzi? Przy tej sposobności chcę ci powiedzieć i zwrócić na to uwagę, żebyś się w to nie mięszał. Pan Zygmunt nie dla Sabinki ani Sabinka dla pana Zygmunta — oni by się nawzajem zamęczyli.

— Otóż ja tego nie rozumiem—ciekawym dla czego oni nie dla siebie?

— Ano ty tego nie rozumiesz, więc się nie wtrącaj! proszę cię o to.

I zabrała się moja pani i wyszła, zagniewana jakaś.

— Otóż masz djable kaftan! rzekłem do siebie — nie wtrącaj się, nie wtrącaj! oni nie dla siebie.—Nie bój się, Sabinka przerobi go, przerobi, jakieś ty mnie przerobiła, iż pozwalam na to, żeby w moim domu jakieś tam, panie Boże, aktorki, koczkodony się schodziły... ho! ho! nie takieście wy aniołki jak się wydajecie.

I byłbym zapewne nie wdawał się wcale już w te interesy, bo mi spokój domowy najmilszy, gdybym nie był na moją żonę rozgniewany o następujący wypadek. Poczęło w owym czasie wychodzić znakomite dzieło historyczne p. t. „Izabella królowa hiszpańska czyli tajemnice dworu madryckiego. Ja tam o tém nie wiedziałem, bo nie lubię zajmować się literaturą, ale mój kolega i dobry przyjaciel pan Franciszek Sędzia Trybunału Cywilnego, który dzieło to czytał, tak mi je począł zachwalać i zachęcać, że poszedłem do księgarni i kupiłem sobie wszystkie zeszyty naraz, co mię nawet kilkanaście złotych kosztowało. Ano trzeba coś i na literaturę narodową poświęcić. W domu po obiedzie, zapaliwszy cygaro, usiadłem sobie wygodnie w fotelu i zacząłem czytać Izabellę. W istocie okazało się, że książka ta ma wysoką wartość. Tak dalece zajęły mię te tajemnice madryckie, które autor widać bywalec, znał jak to mówią na palcach, że czytałem je jednym ciągiem przez parę godzin. I proszę was, co się to tam nie działo w tej Hiszpanii?! Jakie straszne zbrodnie, występki, rozpusta tam była na porządku dziennym. Kiedy sobie w najlepsze więc czytam i myślę jak to dobrze autor zrobił, że takie rzeczy przekazał potomności, wchodzi Elżunia i zobaczywszy mię czytającego, pyta zdziwiona:

— A co ty tak czytasz Symforyjonku? skądże ci się to wzięło?

— Widzisz Elżuniu, widzisz i ja lubię czytać ale rzeczy zasługujące na to—

— Ale cóż czytasz?

Z dumą okazałem jéj tytułową kartę dzieła i rzekłem:

— Patrz, dzieło historyczne, Izabella królowa hiszpańska czyli tajemnice dworu madryckiego, warto żebyś to przeczytała, jak skończę zaraz ci dam.

— A zmiłuj się Symforyjonku, zawoła Elżunia porywając książkę i rzucając ją w piec, takie szkaradzieństwa czytać — nie sądziłam, żebyś był tak ograniczony.

To mię rozgniewało—a gdy jeszcze do tego ośmieliła się zabronić mi wdawania się w sprawę Zygmunta i Sabinki, powiedziałem sobie:

— Niechże sobie będę ograniczony a ty bądź mądra a taki ja na swojem postawię i Sabinkę wydam za pana Zygmunta—zobaczymy czyje będzie na wierzchu.

Postanowiłem więc działać na przekór mojej żonie i tym sposobem ją ukarać. Gniewało mię to także, że pan Zygmunt konkurował i ani się oświadczał, ani nic, a dziewczynie ciągle głowę zawracał.

— Czyżby z nią chciał tylko romansik uciąć, myślałem sobie—o! niedoczekanie twoje mój panie, musisz się żenić, choćbyś djabła zjadł. *(d. c. n.)*

GAWĘDY POPULARNO-NAUKOWE.

(Dokończenie).

III. Sen i marzenie.

Marzenie. — Kombinacyje senne. — Wrażenia zmysłowe,—Sen jako posłaniec miłości. — Zmora.—Spadanie i latanie we śnie.—Niejaśność sennych obrazów. —Sen bez marzeń. — Występki we śnie.—Marzenie w marzeniu.—Bezsenność.— Środki na sen.

W głębokim śnie, mózg tak słabo funkcyjonuje, że po obudzeniu się, nie pamiętamy co się nam śniło i dla tego mocny sen, nazywamy snem bez marzeń. Często przypominamy, że nam się coś śniło, ale pomimo usiłowania, nie możemy wpaść na ślad. Dopiéro na krótko przed obudzeniem, kiedy zawarty w ciałkach krwi tlen, zaczyna znowu przyśpieszać zmianę materyi w mózgu, obrazy senne na-

---

brodziejstwem. Praca dyrektora i miejscowego nauczyciela zasługuje pod tym względem na zupełne uznanie. Pierwszy zajęty jest głównie nauczaniem religii i zasad moralnych, drugi uczy początków języka polskiego, rosyjskiego, geografii, botaniki i arytmetyki. Przeciwko tym wykładom nic powiedzieć się nieda, wyrażamy tylko życzenie, aby przy wybieraniu książek do czytania, trzymać się o ile możności dziełek wzorowych, które są prawdziwemi kodeksami moralności. Do takich zaliczamy np. *Pomoc własną*. Odczytywanie życiorysów ludzi, którzy własną uczciwą a wytrwałą pracą, doszli do znaczenia i majątku, nadzwyczaj silnie oddziaływa na umysły młodociane i może dla niejednego stać się nieprzezwyciężoną pobudką do pracy. Samo bowiem suche moralizowanie o cnocie i obowiązkach, nikogo a szczególniéj dzieci nie naprowadzi na drogę cnoty. Zajmowanie wychowańców instytutu rzemiosłami, jest dla nich dobrodziejstwem nieocenionem, bo zapewnia pożyteczny byt wśród społeczeństwa. Pod tym względem zakład mokotowski jest wzorowym. Wszystkie rzeczy potrzebne wychowańcy robią sami, pod kierunkiem odpowiednich rzemieślników. Duch porządku i pracy widnieje tam na każdym kroku. Pod względem higienicznym zakład nic prawie do życzenia nie pozostawia, sypialnie przestrone, szkoła umieszczona w dużym salonie, sala robót również obszerna, a w chwilach wolnych chłopcy oddają się ćwiczeniom gimnastycznym. Chorych zakład odsyła do szpitala, a dla mniejszych dolegliwości urządzono na miejscu szczupłą infirmeryją i apteczkę. Dodajmy do tego ogród i w ogólności świeże powietrze, którem oddychają wychowańcy mokotowscy, a przekonamy się, że ich pobyt w instytucie w porównaniu z położeniem, z którego ich wydobyto, jest rajem. Temu też przypisać należy, iż do zakładu, którego celem jest wydzieranie przestępstwu ofiar niewinnych, przybywają matki biedne z dziećmi wcale niepopsutemi. Tymczasem zakład mokotowski przeznaczony dla tych, dla których karność domowa jest bezskuteczną. Ogół, a szczególniéj ten ogół żebraczy dla którego utrzymanie dzieci jest ciężarem: nie wie o tem i domaga się od instytutu rzeczy niepodobnych.

Zwracamy w końcu uwagę zwierzchności zakładu, aby dzieci tam przyjmowane, pozostawały jak najdłużéj i aby, i ile możności, po wyuczeniu się jakiegokolwiek rzemiosła na tychmiast były oddawane do warsztatów prywatnych. Winszujemy także zakładowi zaprowadzenia chowu jedwabników. Zajęcie to mozolne ale przyjemne, może z czasem stanie się i zyskownem. Nowość tę w instytucie mokotowskim i w wielu innych zakładach dobroczynnych zawdzięczamy p. Boguckiemu.

* * *

P. *Leonard Sowiński* napisał krótki poemacik p. n. *Graf Jarosz* (Wieniec Nr. 53), w którym przedstawia miłość hrabiego do cyganki. Kupił ją dzieckiem jeszcze, chcąc mieć z niej na przyszłość kochankę. *Diwa* atoli doroślszy i wykształciwszy się umiała tak ujarzmić serce i następnie umysł Jarosza, że zmusiła go do poślubienia siebie. Po paru latach pożycia, Diwa uciekła z bandą cyganów a hrabia zabił syna, w którym „za ciemny w żyłkach drobnych dostrzegł płyn" — i zamek swój podpalił.. Już poraz drugi (por. *Fragment*) p. S. staje się poetą krwi, ukropem bo nie lawą płynącej w żyłach bohaterów, o których nie można powiedzieć, żeby byli wielkiemi, kiedy ich sam autor określa w słowach niezbyt pochlebnych:

Szalony! Samolubnie śnił
O szczęściu bez ofiary i bez trudu:
Lecz mary te i żądze krył
I czekały *gniewnie*—śmierci albo cudu...

Oddajemy należny hołd talentowi p. S. nie możemy atoli nie zrobić zapytania: jaki jest cel takiego lubowania się w scenach, w których namiętność zwierzęca może się czytelnikowi przedstawić w blaskach ideału? Etycznie biorąc jest to wszczepienie jadu; a czysto poetycznie — jest to powrót do barw *wyłącznie jaskrawych.*

bierają żywości i związku i łatwiéj pozostają w pamięci. Rzadkie są wypadki takiéj żywości snu, abyśmy po obudzeniu się, nie byli w stanie odróżnić tego co nam się śniło, od tego co zaszło na jawie.

Jeden z najsławniejszych, dziś żyjących lekarzy chorób umysłowych, profesor Jessen w Hornheim pod Koloniją, podaje następujący przykład: „Między piątą i szóstą godziną rano, zimową porą, obudził mnie nadzorca, przynajmniéj tak mi się zdawało i doniósł że przyszli ludzie po chorego; zapytał przytém, czy mu czego nie polecę. Na to odpowiedziałem, że może pozwolić wziąść chorego i po jego odejściu, poprawiłem się na łóżku chcąc znowu zasnąć. Naraz przychodzi mi na myśl, że o przeniesieniu chorego, nic dotychczas niewiedziałem, ale mi to przypomniało, że byłem zawiadomiony o przeniesieniu choréj kobiéty, tegoż samego nazwiska. Pragnąc zbadać te okoliczności, zapaliłem świecę, ubrałem się i poszedłem do mieszkania nadzorcy. Znalazłem go, ku wielkiemu mojemu zdziwieniu, dopiéro nawpół ubranym; a na zapytanie, gdzie są ludzie, którzy mają przenieść chorego, odpowiedział zdziwiony, że nic o tém nie wie, że tylko co wstał z łóżka, że nikt u niego nie był. Odpowiedź ta nie naprowadziła mnie na domysł, odezwałem się, że to ekonom musiał być u mnie, że więc do niego pójdę dowiedzieć się. Kiedy udając się do mieszkania ekonoma zrobiłem kilka kroków, nagle przyszło mi na myśl, że musiało mi się śnić to, o rzeczywistości czego nie miałem dotychczas najmniejszéj wątpliwości.“ W tym przykładzie to jest uderzającem, iż złudzenie że to com śnił działo się na jawie trwało przez długi czas po zupełnem obudzeniu się, ubraniu i pójściu do nadzorcy, a potém nagle bez żadnego powodu znikło.

Częstsze są wypadki, że przebudzenie nie jest zupełnem; w takich razach dostatecznem jest oddziałać w odpowiedni sposób na uważany za rzeczywistość sen. Są przykłady, że ludzie w stanie półsennym dopuszczali się czynów gwałtownych, ale za takie czyny nie mogą być odpowiedzialni.

Büchner w czasopiśmie Henke'go poświęconem medycynie sądowéj podaje zajmujący przykład przestępstwa przeciwko karności wojskowéj, spełnionego we śnie po upiciu się. „Chrystyjan Jenger, gwardzista, mający wieku lat dwadzieścia dwa, a służby wojskowéj dwa lata, najlepszego prowadzenia i spokojnego charakteru, w południe przed dwunastą godziną zasnął na łóżku w odwachowéj izbie. Kapral chciał go obudzić i kazać mu zamieść izbę. Jenger wstał i nic nie mówiąc uchwycił kaprala za piersi, wyciągnął szablę i zamierzył się na niego; ale kapralowi udało się cięcie swoją szablą odbić.

Jenger chciał się bić jeszcze, ale obecni żołnierze rozbroili go i aresztowali. Usiadł spokojnie, nic nie mówiąc na łóżku. Jenger dnia poprzedniego i rano w dniu spełnienia tego czynu, stał na warcie na mrozie, w nocy grał w karty, troszeczkę się napił i znużony zasnął w ciepłéj izbie. Przy śledztwie okazało się, że mu się śniło iż stoi na warcie, że jakiś chłopiec złapał go za włosy i chce odebrać broń i dla tego wyjął szablę i zamierzył się. O tém, co rzeczywiście zaszło, nic nie wiedział. Nie mógł pojąć, jakim sposobem, będąc zawsze takim posłusznym, mógł się dopuścić czegoś podobnego, względem swego przełożonego. Opinja lekarska stwierdziła stan upicia się i snu. I nastąpiło uwolnienie.

Tego rodzaju wypadki, można objaśnić w następujący sposób. Wszelkiego rodzaju utrudzenia, jak tutaj stanie na warcie, a zatém zmęczenie, pociągają za sobą wielki brak tlenu w organizmie, a ilość jego podczas krótkiego snu przyjęta, nie jest jeszcze dostateczną do wprowadzenia mózgu w pełną działalność. Zbywający tlen zużywa się na niższą poniekąd, mniéj go potrzebującą czynność, popędu woli tak, że swobodne zastanawianie się i swobodna myśl nie mogą się jeszcze obudzić.

Bardzo łatwo możemy się o tém przekonać, budząc kogo z głębokiego snu. Widzimy, że nim przyjdzie do zupełnéj świadomości siebie, rzuca się po łóżku, wyciąga członki i t. d., dopóki myśl nie opanuje mózgu, i nie wróci zupełna świadomość siebie.

Niekiedy jednak, widzimy wprost przeciwne zjawiska, to jest że śpiąc, możemy poznać, że to co się śni, jest rzeczywiście snem. Już Arystoteles zwrócił na to uwagę. Szczególny przykład podaje Anglik Beattie: „Śniło mi się raz „powiada“ że chodziłem po tamie koło bardzo wysokiego mostu. Po com tam przyszedł, tego nie mogłem pojąć, ale ponieważ nie mam zwyczaju nic podobnego robić, przyszło mi na myśl, że mi się to śnić musi. I chcąc się uwolnić od męczącego snu, rzuciłem się na dół, w nadziei, że przez upadek, odzyskam zmysły; co się też rzeczywiście stało. W tym przykładzie senne marzenie miało miejsce na chwilę przed obudzeniem; widocznie więc, zaoszczędzenie tlenu doszło do takiéj wysokości, że już mogły funkcyjonować w sposób ograniczony, organa swobodnego myslenia, i współcześnie, nie ustała zupełnie działać, senna assocyjacyja idei.

Zupełnie to samo ma miejsce, przy znanym pewnie każdemu zjawisku, kiedy przed samém zupełném obudzeniem, staramy się zaczęty sen, umyślnie snuć daléj. Wtedy organ myślenia, jest już zupełnie zdolny do działania, ale jesteśmy w stanie, przez krótki zaledwie czas nim kierować i pozwalamy jeszcze działać, fantastycznéj assocyjacyi idei, rozpoczętéj we śnie. Ale skoro tylko swobodna myśl, rzeczywiście wda się w grę wyobraźni, wtenczas kończy się sen i stanowczo budzimy się.

Przebudzenie następuje najczęściéj, kiedy zaoszczędzenie tlenu, dojdzie do najwyższego stopnia, a zatém zmiana materyi, rozpoczyna pełny bieg. Ale może nastąpić i wcześniéj, spowodowane wpływami zewnętrznemi. Silne podrażnienia nerwów słuchu, czucia albo nawet wzroku, wprawiają mózg przez przeniesienie pobudzenia, w stan rozdrażnienia które pociąga za sobą większy przypływ krwi i w skutek tego powiększenie zmiany materyi w mózgu, co po dojściu do pewnego stopnia spowodowywa zupełne obudzenie. Sen wymaga jakeśmy wyżéj wyrzekli, małego napełnienia naczyń krwionośnych arteryjalnych. Wszystko, co tylko jest powodem większego przypływu krwi do mózgu, przerywa sen i przeszkadza zasypianiu. A zatém płoszą sen, wszystkie namiętności i wzruszenia, długie zastanawianie się, wzburzenia cielesne i duchowe, a szczególniéj wszystkie środki, sprawiające przepływ krwi do głowy (rozpalające głowę). Przeciwnie zaś, wszystko co krew od mózgu usuwa, albo w tymże, naczynia krwionośne zwęża, sprowadza sen. Tak działają zimne okłady na skroniach, zimno bowiem, ściąga naczynia. Wypada nam jeszcze, zastanowić się nad działaniem lekarstw tak zwanych usypiających szczególniéj opijum i jego alkaloidów, (między któremi pierwsze miejsce zajmują Morfina i Narceina). Na drodze doświadczeń, zdołano dojść do tego wniosku, bardzo prawdopodobnego, że opijum wywiera działanie ściągające na naczynia mózgowe, a więc wypędza krew z mózgu. Ale tego rodzaju środkami, to tylko można sprawić, że się mniéj tlenu zużywa w mózgu, nie można zaś tego dokazać, żeby się więcéj tlenu przyjmowało i gromadziło. Tymczasem, właśnie w wypadkach, kiedy trzeba się uciekać do tych środków, zmniejsza się zdolność ciałek krwi pochłaniania tlenu, jak o tém przekonały doświadczenia Pettenkofera w pojedyńczych chorobach. I stąd to pochodzi, że przez opijum wywołany sen, nigdy nie jest tak orzeźwiający i wzmacniający. W zwykłych warunkach zdrowia wystarcza już do wywołania snu, wstrzymanie wyżéj wymienionych przeszkód. Wprawdzie zwyczaj gra tu ważną rolę. Po większéj części nie zwykliśmy nigdy czekać na ostateczne wyczerpanie się tlenu w organizmie i usypiamy wcześniéj, jak tylko takowe dojdzie do pewnéj granicy, zwyczajem zakreślonéj. Dla tego też, jesteśmy zdolni obudzić się w każdéj chwili. Zawsze jest pewien zapas tlenu, umożebniający obudzenie. W wypadkach, kiedy niedostatek tlenu doszedł do ostatecznego kresu przez zbyteczne czuwanie, sen bywa tak głęboki, że możemy się obudzić dopiéro po upływie nieraz bardzo długiego czasu.

Usunięcie przeszkód snu, nie zawsze jest w naszéj mocy, gdyż rzadko możemy zupełnie panować nad swemi wzruszeniami i uczuciami. Do tego potrzeba albo wiele flegmy albo niezwykłéj siły i ogromnego panowania nad sobą. Powiadają o Napoleonie I, że zawsze mógł spać kiedy tylko chciał, nawet podczas bitwy pod Lipskiem. Mógł więc nietylko panować nad myślą, ale i zap rzestawać myśleć, kiedy chciał. Że to ostatnie, nie jest łatwe, może się każdy przekonać. Kiedy nas mocno zajmuje jaka myśl, jaki plan, nie możemy zasnąć; musimy się wtedy starać zwrócić myśl na przedmioty nas zupełnie nie obchodzące, żeby nie była wytężoną, a zatém by zmiana materyi w mózgu odbywała się powoli. Jednem słowem, musimy starać się znudzić; ponieważ jednak obowiązku tego nie myślę przyjmować na siebie, przeto kończę artykuł.

ZAPISKI

z podróży po Europie,

PRZEZ

J. Gordona.

(*Ciąg dalszy*).

Otóż Vetturini przeciwnie, uważają ciebie samego dopóty za ich wspólny towar i szarpią dokoła, gdy wleziesz między nich, dopóki za swoje pieniądze nie staniesz się własnością jednego.

Nauczony smutnem doświadczeniem, podam ci czytelniku, jedynie przez miłość dla ciebie, receptę, jak się masz ratować od vetturinów na wypadek amatorskiej podróży po Włoszech.

Przedewszystkiem, chcąc nająć konie, nie szukaj sam vetturina, lecz każ go sobie przywołać do hotelu, w którym mieszkasz.

Na skinienie przyleci ich od razu kilku i to w okamgnieniu.

Skoro zażądają od ciebie czterdziestu piastrów za przejażdżkę, ofiaruj im przez wzgląd na swoją kieszeń, krakowskim targiem, piętnaście.

Powstanie hałas, i jeden z nich chwyci się za głowę, drugi wrzaśnie z oburzenia, spojrzy na cię jak na zbója, a trzeci będzie ci patrzał z miną drwiącą w oczy i podrzeźniać zacznie.

Wtedy wyrzuć ich za drzwi.

Nie upłynie pół godziny, a zjawi się do ciebie po cichu jakiś inny vetturino, i powie pod sekretem że tamci są szachraje, sankiuloci, podpalacze, lecz że on jeden, sumienny człowiek, zawiezie cię za trzydzieści piastrów —i basta.

I tego poczciwca wypędź i zamknij drzwi na klucz.

Bądź pewien że za kwandrans wlezie on do ciebie oknem, jeźli nie kominem, i że stargowawszy podwodę za połowę ceny, dobrze mu zapłacisz.

Ale to nie wszystko!

Połóż mu jeszcze za warunek, że konie co trzy mile zmieniane być mają, a bryczka ani razu. Inaczéj nie staniesz nigdy u kresu swojej podróży, i na każdéj stacyi odbywać musisz przenosiny ze swemi tłomoczkami.

Pozostaje na koniec ważna kwestyja do załatwienia, któréj lekceważyć nikomu nie radzę. Jest to *buona mano*, należący się włochom za każdą posługę, czyli datek na wódkę, mówiąc czysto po polsku. Bądźże więc ostrożnym i nie wręcz go przypadkiem najmującemu konie, lecz samemu woźnicy, jeżeli nie chcesz, żeby się z tobą wlókł na pośmiewisko, jak z furą siana, mrugając na innych stangretów. A żadna prośba ani groźba wtedyby nie pomogła, pieniądz tylko chyba na nowo wyrzucony mógłby zaradzić złemu, a nawet sprawić, iż zuchwały przed chwilą vetturino nazwałby cię ekscelencyją.

Wywiedziawszy się o tych obyczajach, puściłem się z mym kolegą, nadmorskim statkiem ku Genui, i wstąpiliśmy po drodze do Monaco.

Gdy kto kichnie na jednym końcu tego księstwa, to na drugim zdrowia mu życzą.

Szukając na mapie Monaco, nie mogłem go znaleźć, aż dopiero postrzegłem, że przykryła je kropelka atramentu, co mi padła z pióra?

Bo w rzeczy saméj, czy wiecie, co to jest Monaco?

Jestto oranżeryja! Oranżeryja ta atoli straszliwie nam się przedstawiła z powodu nieznośnej dla pasażerów komory celnej, i jeszcze nieznośniejszej opłaty od przymusowego wizowania paszportów.

Jakkolwiek nader wygodny to sposób polepszenia finansów dla księcia panującego, zarzucić on go już zapewne musiał od chwili zaprowadzenia u siebie *rulety*, tudzież *trente et quarante*, na które niesłychany nałożył podatek.

Pomimo to, pan Blanc, dyrektor tego zakładu gry, właściciel takiegoż samego i w Homburgu, choć opłaca się grubo na wszystkie strony, musi dobre robić interesa, skoro niezbyt dawno wyłożył miliony na upiększenie za miastem okolicy, gdzie zakład istnieje. Z przepysznych ogrodów wiszących na piętrzących się u brzegu morskiego skałach—co jest dziełem Blanca—rozpościera się tam cudowny krajobraz.

Jakichś dwóch jegomościów, jeden miłej powierzchowności młodzieniaszek, drugi z miną starego lisa, napiętnowaną gry namiętnością, prowadzili w altanie głośną rozmowę.

Stary wydrwigrosz usiłował wziąść na lapę młodzieńca, i tak dalej rzekł do niego:

— Żart żartem, ale w jakimże to uniwersytecie dowie się człowiek bogaty, co to jest być gołym, i dozna nieznanych mu wrażeń, jeśli się nie zgra choć raz w życiu do koszuli?... Z drugiéj strony, gdzież, jeśli nie przy zielonym stoliku, zobaczymy najzupełniejszą równość, zniesienie wszelkich socyjalnych różnic, wszelkich kast, wszelkiéj hierarchii? Tam dopiero panuje prawdziwa demokracyja i republika, a królów nie ma innych, oprócz malowanych...

— Dobrze, dobrze—przerwał młody człowiek—ale wróćmy do pańskiego systemu, na którym w grze zawiesć się nie można.

— Szkoda odpowiedział stary—żeporzucawszy zamiar jechania do Monaco, nie studyjowałeś pan tak znakomitych dzieł, jak np. „Traité du trente et quarante par Gregoire", —„Traité de la roulette" tegoż autora, dalej słynne arcydzieło Van-Tenaka, które podaje ogólny sposób wygrywania zawsze w ruletę, —i wiele innych głębokich pewników, jak ten, że według św. Augustyna, 11 jest cyfrą nieszczęśliwą, bobyś zrozumiał mój nieomylny system.

— I dla czegóż go pan nie zastosuje tu w praktyce?

— Ba! w tem to sęk. Właśnie czekam na list z pieniędzmi od żony—z pieniędzmi, rozumie się wygranemi na mój system w Wiesbadenie. A raz mając kilkaset franków na stawki, dopiero zadam tutejszéj rulecie feferu.

— O jeżeli tylko chodzi o stawki—rzekł naiwnie młodzieniec dobywając pularesu—to ja panu zaliczę, a będziemy grali do spółki.

Zaiskrzyły się oczy chytremu oszustowi, gdy przyjmował pieniądze, i obydwa udali się szpalerem do jaskini zepsucia.

Gdyby dyrektor zakładu gry, trzymający berło oszustwa, nie uiścił się ze swych zobowiązań względem panującego księcia w Monaco, trzeba wiedzieć, że ten jest w stanie je wyegzekwować, ma bowiem na swe rozkazy armiję złożoną aż z 300 żołnierzy, wyraźnie trzystu—to nie żarty!

I wystawcie sobie, że ów kraik malutki tyle rozmaitych przetrwał rewolucyi! Był nawet w swoim czasie Rzecząpospolitą. Ciekawa to historyja—posłuchać więc proszę.

Gdy z Bożej łaski Honoryjusz, IV panował sobie tam spokojnie, o niczem złem nie myśląc, tylko o ściąganiu podatków z wiernych poddanych, o smacznym obiedzie i błogim żywocie w pałacu, ocienionym tak rozłożystemi kasztanami, jakich nie ma gdziein dziej na świecie, wybuchła na jego nieszczęście rowolucyja francuzka (1789).

Na tę wieść mieszkańcy chciwie nadstawili uszów, skoro zaś respublika we Francyi została ogłoszoną, upatrzyli chwilę, gdy książe pan wyjechał z domu, uzbroili się w zardzewiałe szable, rusznice, siekacze i rożny, napadli na pałac i zdobyli go szturmem.

Dzieje opiewają, że w piwnicach rezydencyi jego książęcej mości znajdował się pod tę porę niepospolity zapas wybornego wina. Skutek zaś tego był taki, że w parę godzin po szturmie ośm tysięcy poddanych książęcych upiło się z radości należycie i—ululało.

Z tej pierwszéj próbki postrzegli oni, jako wolność jest wyśmienitą rzeczą—postanowili więc i u siebie Rzeczpospolitą ogłosić.

Ale że posiadłości Monaco zdały im się być pewnie za zbyt wielkiem państwem, aby mogły rządzić się samoistnie i nierozdzielnie przeto mądre głowy, które się zawiązały były w komitet tak zwany narodowy, uchwaliły, iżby na wzór Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnéj zlać się w federacyją.

Nastąpiła zatém walna rada nad nową kartą konstytucyjną, i stanęło na tem, że Monaco i Mantua zespoliły się razem—na śmierć i życie.

Lecz nie dogodziło to jeszcze ambicyi tamecznych obywateli. Wysłali oni posłów do Konwencyi francuzkiéj z życzeniem dobrego zdrowia i w celu porozumienia się i zawarcia z nią przymierza, zaczepnego i od pornego.

Członkowie konwencyi będąc w wesołym humorze przyjęli posłów z oznakami najwyższéj grzeczności, i wręczyli im żądany pargamin sławnego sojuszu, gdzie wyrażono było, iż Rzeczpospolita Francuzka z zachwyceniem przyjęła wiadomość, że istnieje Rzeczpospolita Monaco.

Lecz nie ma nic trwałego na tym dziwnym świecie. Nie przewidzieli szanowni posłowie, że ich rząd republikański musi niezadługo ustąpić miejsca dynastycznym rządom Honoryjusza V.

Tak głoszą dzieje o Monaco losach, niechaj je czuły słuchacz w duszy swéj dośpiewa! (*d. c. n.*)

LISTY O WYCHOWANIU.

PRZEZ

Henryka Wernica.

List I.

Z wielką gotowością, a poniekąd nawet i radością przyjmuję listowne wyzwanie Pani, aby roztrząsnąć niektóre kwestyje, tyczące się wychowania, tak bardzo będące na czasie, a pomimo tego, niestety, tak u nas zostające w zaniedbaniu. Pochlebia mi, że do mnie się w tym względzie zaena Pani udajesz, a starać się będę odpowiedzieć zaufaniu jakim mnie zaszczycasz, o ile mi długoletnia praktyka i praca w tym kierunku, dozwoliły wyrobić stałe téj rzeczy pojęcie.

Że sprawa wychowania u nas leży odłogiem nikt o tém nie wątpi, ktokolwiek bliżéj wejrzał, tak w domowe zacisze, jakoteż w obchodzenie się z młodzieżą i poza obrębem koła rodzinnego. Jeżeli zwrócimy uwagę naszą choćby na ilość książek, mówiących o wychowaniu, które u nas wychodzą, a porównamy ich liczbę z liczbą wychodzących za granicą, smutno się robi człowiekowi myślącemu, że kiedy tam, rok rocznie, ukazuje się ośm do dziesięciu publikacyj, obok znacznéj liczby dzienników, poświęconych wyłącznie edukacyi, u nas zaledwie co lat kilkanaście ujrzymy książkę, która i tak nie znajduje należytego pokupu. Czemu to przypisać? czy niezręczności pisarzy, czy obojętności ogółu dla sprawy wychowania? Zdaje się, że prędzéj wina leży po drugiéj stronnie. Publikacyje belletrystyczne, chociaż nie zawsze odznaczające się i formą, tak oryginalne, jak przekładane, niezawodzą nigdy interesu wydawców. Mają swoje kółko czytelników, chcących się bawić, a niestety, największy tu kontygens stanowią podobno matki rodzin, które, znudzone własnemi dziećmi, biorą je w rękę, aby zapomnieć o najświętszym swym obowiązku, którego wypełnić nie potrafią, gdyż nie mają żadnego pojęcia o wychowaniu, jego celu i sposobach do niego prowadzących.

Gdy więc rodzice i kochające matki, przez własną nieoględność i obojętność, pozwolą wzrosnąć w duszy dziecięcia rozmaitym chwastom i szkodliwemu zielsku, przytłumiającemu wszelką zdolność i zaciejszą dążność umysłu dziecięcego, nagle, przy zdarzonéj okazyi spostrzegają w niém wady, o jakich nigdy nie pomyśleli. Dziwią się tedy niepomału, zaczynają badać, szperać, coby mogło być przyczyną téj wady, i przypisują wpływowi szkodliwemu obcych dziatek, lub starszego otoczenia *to, co* właściwie jest wynikiem własnéj ich obojętności; boć najłatwiéj zrzucać odpowiedzialność na innych. Na to nie potrzeba ani wielkiego rozumu, ani wielkiego serca! Umywanie to rąk od własnej winy podwójną wszakże przynosi szkodę; albowiem nie sprowadza żadnéj zmiany w pojęciu obowiązków, ciążących na rodzicach względem własnych dzieci, i jakoby uwalnia ich od odpowiedzialności w rzeczy tyczącéj się ich wychowania, a zostawia również obszerne pole wpływom obcym.

Jedyném na to lekarstwem jest większa znajomość *teoryi* wychowania; na téj zasadzie można dopiero robić dalsze spostrzeżenia i obserwacyje, co uzdolni wychowawców w *sztuce wychowania*.

W Niemczech rodzice, zaniepokojeni objawem pewnéj szkodliwéj skłonności w duszy dziecka udają się po radę do jakiegoś znakomitego pedagoga, tak jak w razie choroby fizycznéj, posługują się radą lekarza. I słusznie: przekonani są bowiem, że rada ta może być i sprawiedliwszą i skuteczniejszą, bo opiera się na wszechstronniejszem doświad-

czeniu i gruntowniejszem znaniu ogólnéj natury ludzkiej.

Pytasz się mnie, zacna Pani, jakie jest moje zdanie, co do nadzoru, pod jakim wychowańcy ustawicznie znajdować się powinni? Słuszną jest twoja uwaga, że nadzór może szkodliwie wpływać na rozwój władz dziecięcego umysłu. Nadzór ten bowiem podobny jest do prowadzenia na pasku. Wiemy z doświadczenia, że dziecko w ten spósob nienauczy się chodzić; a skoro zbyt długo wodzono je na pasku, stanie się tak trwożliwém, iż kroku bez niego postawić nie będzie w stanie. Jakże wię uczy się ono chodzić? Oto, sposób bardzo prosty; trzymamy je z początku za rączkę, następnie puszczamy takową, a z odległości przypatrujemy się, czy pochodowi jego nie stoi co na zawadzie. Odstawiamy na bok krzesła, meble i inne przedmioty, przez potknięcie się z któremi mogłoby stracić nie zupełnie jeszcze pewną równowagę; gdy nawet upadnie, nic mu to nieszkodzi, bo upadło przez własną nieoględność, a własną siłą podnieść się znów zdoła. Zupełnie tak samo postępować winniśmy z wychowańcami, gdy idzie o rozbudzenie ich pewności i taktu, tak w obchodzeniu się z ludźmi, jak i we własném postępowaniu. Nadzór tu jest rzeczą zbyteczną, a nader szkodliwą; opóźnia on ufność we własne siły, a więc i wzrost takowych. Dziecię nie jest więźniem, który za przeszłe przewinienia, ma sobie przydanego nadzorcę, strażnika, lecz wychowaniec jest dziecięciem, nad którem ustawicznie *czuwać* powinno oko rodziców, a lepiéj nawet powiem, myśl rodziców lub wychowawców. Czuwanie to nie zawsze powinno być widocznem; aby dziecię nie czuło jego więzów, tak — ażeby usposobienia jego duszy mogły wyjść na jaw i rozświetlić nie jednę stronę jego charakteru. Powtarzam raz jeszcze: czuwać winni wszyscy zajmujący się wychowaniem. Lecz to jeszcze niedosyć: obcować z dziećmi powinni, obcować po przyjacielsku, przewodniczyć im w zabawach, rozrywkach, wycieczkach — a wtedy ujrzą niejednę wskazówkę w postępowaniu wychowańców, która im posłużyć może, lepiéj, niż sama teoryja, jużto do przytłumienia w samym zarodku pojawiającego się błędu, już to do spożytkowania ukazującéj się zalety dla dobra swych wychowańców.

Różnicę między *nadzorem* a *czuwaniem* uwydatni następujący przykład: Kramarz, zajęty cały dzień, osobiście sprzedażą swych towarów, jest jakby *nadzorcą*. Kupiec, doglądający z daleka obrotu swego handlowego, kierujący swemi interesami i myślący o sprowadzeniu nowych przedmiotów przemysłu, mających mu przynieść większy zysk, *czuwa* nad swoim handlem. Obecność ostatniego nie jest ustawicznie potrzebną, bo myślą swoją jest zawsze zajęty swym interesem, pierwszego działalność jest bezmyślna, drobnostkowa, bez wyrachowania; drugiego czynność jest myśląca, przewidująca, i obrachowywujaca możebne zyski lub straty. Pierwszy, co dziś zarobił, to, bez żadnego prowadzenia ksiąg rachunkowych, jutro wydaje na nowe zakupy; drugi oblicza pilnie codziennie swą kassę, a sprowadza tylko w pewnych epokach. Pierwszy żyje z dnia na dzień, drugi bez z góry obmyślanego projektu obejść się nie może.

Bez miłości rzetelnéj, dla ludzkości i dziecka, nie masz wychowania. Ci więc, którzy do niéj nie są zdolni, niepowinni się brać do tego, jednego z najświętszych obowiązków. Wszak pole rozlicznych zatrudnień leży przed nimi otwarte; niech więc na nim probują szczęścia, a lepiéj niezawodnie na tém wyjdą.

Skoro więc miłość szczera jest głównym warunkiem wychowawcy, któż będzie do niéj bardziéj uzdolniony, aniżeli własna matka dzieciny. Lecz miłość ta winna być miłością rozumną i oświeconą; to znaczy: powinna znać prawdziwe dobro dziecka i środki do niego prowadzące. Porównajmy wychowanie dziecka do podróży. Wtedy matka będzie jego aniołem stróżem wskazującym mu drogę, ostrzegającym o niebezpieczeństwach, o dołach, wyrwach i moczarach, na niej się znajdujących; raz prowadzić będzie dziecię za rączkę, winnem miejscu przytuli do swego łona, w innem znów pozwoli samemu wesoło stąpać i biegać, i zrywać kwiaty, i gonić motyle, i z ptaszkiem puszczać się na przegony. To znów się zatrzyma i obmyśli, jaką drogą iść wypada, aby uchronić dziecię, od przykréj i przepaścistej drogi, aby nóżki jego delikatne się nie skaleczyły, a unikać będzie wszelkiego spotkania się ze złą myślą, brzydkiém słowem, niegodnym czynem, bo wie że wielka wrażliwość dziecęcego umysłu przyjmuje łatwiej, niż dorosły człowiek, wszelkie zewnętrzne wrażenia, bez żadnego roztrząsania. Wie, że w umyśle dziecka odbija się jéj własne postępowanie, iż powolność lub gorączka jej usposobienia oddziaływa na utworzenie takiegoż usposobienia w jej dziecku. Wie, że jéj zalety i wady powtórzą się w zmienioném wydaniu, w jej synku lub córeczce. A któráżby matka nie życzyła sobie szczęścia własnych dziatek? A którýżby ojciec nie chciał, żeby dzieci jego były lepszemi i rozumniejszemi niż on sam?

Prawdziwie miłujący, rozsądni rodzice, pilnie przypatrują się i czuwają nad pierwszem kiełkowaniem uczucia, pojętności w duszy własnego dziecka. Dzielą jego uciechy i strapienia, i ułatwiają rozwój jego sił fizycznych i duchowych.

Jedna ze znajomych mi matek, oddanych, całem sercem, wychowaniu dziatek swoich, spisywała codziennie, dzienniczek spostrzeżeń nad własnemi dziećmi. Pomieszczała w nim wszystko, co się tyczyło, tak ich fizycznego, jak i duchowego rozwoju, i zapewniała mię, że niejednokrotnie dzienniczek ten był dla niej niemałą wskazówką i pomocą w zapobieżeniu, czyto chorobie jakiej, czy też wadzie, świeżo się ukazującéj. Mówiła też także, że ten dzienniczek był niejako kontrolą, sumieniem jej, wyrzucającym jéj wady własnych dziatek. Wierzymy najzupełniej szanownej tej matce i myśl ta powinnaby znaleść naśladowców nietylko w matkach, lecz w ojcach, i w ogóle we wszystkich, komu na sercu leży sprawa wychowania. Matka ta rzeczywiście *czuwała* nad swojemi dziećmi, nie była ich dozorcą, lecz jakoby okiem Opatrzności, prowadzącem ich w ich wychowaniu.

O WYBORZE POKARMU
dla niemowląt i dzieci.

podał
Stanisław Wojciech Łukowski.

(Dalszy ciąg.)

Skoro w miejsce mleka matczynego, wypadnie udzielać dziecku, mleko jakiegokolwiek zwierzęcia, to należy zawsze wybierać mleko, które swoim składem najbardziej zbliża się do mleka matczynego, t. j. które również jest ubogie w tłuszcz i sernik, lecz bogate zawartością cukru mlecznego i wody. Pod tym względem mleko oślicy i klaczy, ma pierwszeństwo przed innemi, nawet przed krowiem; lecz gdy pierwsze i drugie, nie wszędzie są łatwe do nabycia, zwykle więc używają dla dzieci mleka krowiego. Przy wyborze zwierzęcia, nawet krowy, dla karmienia noworodka, należy zachować prawie też same prawidła, jak przy wyborze mamki; tak np. niezbędną jest rzeczą, aby krowa była niedawno po ocieleniu, aby otrzymywała dobrą paszę lecz niezbyt obfitą, stała w czystej i należycie przewietrzanej oborze i t. d. Obok tego, wypada zawsze brać mleko od jednego i tego samego zwierzęcia, a nie mieszaninę od różnych krów, jak to dzieje się zazwyczaj po miastach. Trzeba koniecznie unikać mleka kwaśnego, również nie gotować go, lecz tylko ogrzewać w gorącej wodzie przy 30—44° R. Wreszcie, ponieważ mleko krowie pospolicie jest bardzo tłuste, t. j. zawiera zbyt wiele masła i sernika (pierwszego 3,8 drugiego 6,8 na 100 części, gdy mleko kobiece na tyleż części zawiera masła 2,5 a sernika 3,4 podług Simon'a), należy więc rozrobić je wodnemi cieczami [1]), biorąc ilość tych ostatnich tem większą, im dziecię jest młodsze; z początku np. dolewa się $1/3$ wody, potem powoli dochodzi się do $1/5$ i t. d. lecz zwykle dodaje się do tego nieco cukru. Aby otrzymać mleko mniej tłuste, można dawać krowom na paszę, pokarmy soczyste i wodniste, jak rzepa i inne. Dla rozrzedzenia mleka, używa się zwyczajnej wody z małym dodatkiem cukru; częściej w tym celu służy odwar jęczmienia, kaszy perłowej lub owsianej, także słaby napar anyżu lub rumianku, aby zapobiedz lub usunąć wiatry i bóle brzuszka u dzieci. Dla słabych, wynędzniałych i chorowitych niemowląt, służy mleko z niesolonym rosołem, przygotowanym z drobiu, kur i t. p. Gdy dziecię dojdzie 2—3 miesięcy wieku, potrzeba dodawać do mleka co raz pożywniejsze istoty. Tym spsobem daje się np. gęsty odwar wysuszonego i potłuczonego chleba z mlekiem, sago, arrow-root, ryż, oraz żółtko jajka z ciepłem mlekiem i wodą, z gummą, lub czyste nie rozrzedzone mleko krowie; od 3° lub 4° miesięca należy prócz mleka, dawać jeszcze inne pożywne materyje w papkowatej na pół płynnej postaci.

U dzieci dotkniętych kolką, biegunką, wymiotami i t. p. należy unikać zaraz po urodzeniu, zwykłej mącznej papki (z mąki pszennej, ugotowanej z wodą, mlekiem i cukrem) i wogóle, wszelkiego pokarmu gotowanego z mlekiem. Daleko lepiej jest używać, dobrze wypieczony i wysuszony pokarm np. sucharki, placuszki, tak zwany wyciąg mleczny (laktolin) który gotuje się z wodą i małą ilością cukru, oraz jeśli już nie można co innego, to czysty chleb pszenny. Materyje te przedewszystkiem należy sproszkować, potem ugotować z wodą, przecedzić, gdy nie tworzą massy kleistej jak np. arrow-root, i osłodzić cukrem. Następnie, można dodawać mleka lub bulionu do rzeczonej papki i tym sposobem, powoli przejść do zwyczajnego pokarmu dziecinnego, do zup z ryżu, sago, jęczmienia, rozmaitych kasz, makaronu i t. p. Niekiedy dzieci już wcześniej znoszą buljon, tarte kartofle, wodę z mlekiem i t. p. należy więc zawsze próbować jednego lub drugiego środka i zastosować się do danego wypadku.

Często dzieciom, w miejsce matczynego mleka, dawano ssać bezpośrednio pierś kozy i innych zwierząt; lecz łatwo pojąć, że w życiu domowem, zwłaszcza po miastach, takie karmienie bardzo rzadko daje się wykonać. Mleko krowie i inne, nalewa się w smoczek, przyczem trzeba zachowywać najścislejszą czystość, ażeby wszelkiemi sposobami, unikać skwaszenia się mleka; obecnie smoczki często robią z sysułką z kauczuku.

Jak różnorodne są materyje, używane dla karmienia niemowląt, okazuje się z powyższego. Najgłówniejszym warunkiem jest tutaj zawsze, aby pokarm zawierał w odpowiednim gatunku i ilości wszystkie istoty, niezbędne dla podtrzymania i rozwoju ustroju dziecinnego, mianowicie istoty białkowe, kro-

[1]) W większych miastach mleko zwykle jest już na tyle pomieszane z wodą, że nie potrzeba go bardziej rozrzedzać.

chmal, cukier, tłuszcz, nawet sole i żeby był łatwy do strawienia i przyswojenia. W tym celu, prawie co rok wprowadzają w ogólne użycie nowe materyje, np. nie dawno zaczęto używać soku marchwi i roztartej marchwi (Gumprecht), ogrzanej z sucharkami, sproszkowanym białym chlebem, arrow-rootem i t. p. oraz żółtko jajka z ciepłą wodą, kaszą owsianą i t. p. (Küttner). *Lecz zawsze i wszędzie, należy dać pierwszeństwo dyjecie mlecznej, gdyż ta jest najnaturalniejszą.*

Jednakże przy sztucznem karmieniu noworodków, śmiertelność ich, pomimo wszelkich starań i wygód, bywa zawsze dwa a nawet cztery razy większą, niż przy karmieniu mlekiem matki lub mamki, szczególnie w zakładach publicznych; w Maternité np. przy użyciu zup z chleba i t. p. istot, umierają prawie wszystkie dzieci do piątego miesiąca (Marc). Tak zwane żłobki (crèches), urządzone w nowszych czasach po wszystkich dużych miastach, przynoszą ubogiej klassie ludzi, służących, wyrobnic i t. p. przynajmniej tę korzyść, że mogą one w ciągu dnia pozostawiać w nich swe dzieci, a jeśli same znajdują się w pobliżu, to i karmić je osobiście.

(*D. c. n.*)

LIST OTWARTY

do Redakcyi „Opiekuna Domowego".

Spostrzeżenia wynikłe z doświadczeń, postawiły naukę medycyny, naukę chemii na stopniu o wiele wyższym od zajmowanego przed paru dziesiątkami lat — w dziale pedagogiki przestrzegają zaufane osoby niebacznych wychowawców, słowy: „tak się nie postępuje z dzieckiem, wypadałoby w tym razie tak i tak odezwać się, to i to zrobić i. t. p."

Skąd powstałyż te zdania?.... Naturalnie ze spostrzeżeń, i doświadczeń nad własnemi wychowańcami.

Ależ tych spostrzeżeń tak mało, tych doświadczeń liczba tak ograniczona, że wszystko tu nieledwie znanem jest, że zdrowy rozsądek dyktuje prawie całą wiedzę pedagogii w stylową po książkach przybraną szatę.

I skąd powstaje ta posucha?.... Łatwa odpowiedź: z ograniczonej liczby osób z namaszczeniem, poświęcających się sumiennie wychowaniu własnych lub obcych dzieci — oraz z braku specyjalnego organu, gdy np: u nas pierwszy dopiero *Opiekun Domowy* od niedawnego czasu otworzył swe szpalty dla peryjodycznego podnoszenia pytań z dziedziny wychowania.

Gdyby zaś wiedza ta zdawna uprawianą była z całą pilnością, jak to ma miejsce za naszych czasów z medycyną i chemiją, gdyby i tu również czynione były spostrzeżenia na mocy zyskanych doświadczeń, to i pedagogika znaczne poczyniłaby postępy.

Otóż całość zadania naszego, o którem pragnęliśmy przekonać czytających rodziców i osoby poświęcające się wychowaniu dzieci — a teraz przychodzimy do wskazania środków zaradzających złemu.

Odyss przed laty trzydziestu powiedział: „Ze wszystkich zadań, na wychowanie dzieci zwrócono dotąd najmniej uwagi. Empiryzm który panował niegdyś w dziedzinach chemii astronomii i medycyny, w wielu względach panuje dotąd w dziedzinie wychowania. Nie prowadzimy ani jednego dziennika dla notowania objawów wieku dziecinnego; dotychczas ani jeden jeszcze ojciec nie zapisywał, dzień po dniu objawów, rozwoju swego dziecięcia. Dopóki tego nie zrobimy, nie możemy mieć trwałej podstawy do badania — musimy poprzestać tylko na domysłach."

Gdyby zatem Rodzice, dbali o dobre wychowanie własnych dzieci, gdyby sumienni zwierzchnicy młodzieży prowadzili wyżej wspomnione dzienniki, gdyby spostrzeżenia swe jako strofy oderwane, udzielali Redakcyi *Opiekuna Domowego* dla użytku jednego ze spółpracowników tego pisma, zdolnego utworzyć z nich odpowiednią całość; nie ulega wątpliwości że w nauce pedagogiki zrobilibyśmy ważny postęp.

Wszystkich zdań w ten sposób otrzymanych od korespondentów, niepodobna byłoby drukować, gdyż powstałby stąd chaos — ale składając im dzięki, wymieniając ich nazwiska, aby nie przyswoić sobie autorstwa cudzych myśli, zyskałoby się źródło — dla kompententnego pióra, do kreślenia od czasu do czasu artykułów pedagogicznych odpowiednich wymaganiom czasu.

Tym sposobem utworzyłaby się skarbnica duchowa, do wspólnego za swe prace czerpania wiedzy z dziedziny pedagogiki; do otrzymania dobrych rad dalszego postępowania, w zamian za przesłane Redakcyi spostrzeżenia.

Sądzimy, że Redakcyja *Opiekuna Domowego* uczyni w myśl powyższą wezwanie do swoich czytelników i zastosuje się do naszej życzliwej rady, to też jeszcze wypada nam wytłomaczyć się co nazywamy *wymaganiami czasu w dziedzinie pedagogoki.*

Stary rutynizm nieudolnych wychowawców, powoduje niekiedy wady młodzieży, które bez badania przyczyn, zowią oni *wadami natury*; a każdy wiek ma przecież swoje wymagania, musi też mieć oddzielne warunki rozwoju.

Dżon Tindel powiada:

„Niesądźmy aby wiek nasz, lub którykolwiek wiek pojedyńczy, miał za zadanie utworzyć systemat wychowania, nadający się dla wszystkich innych wieków. Być może, że podstawy natury człowieka są niezmienne ale formy w jakich się duch jego pojawia, ciągle się zmieniają. Duch ten bywa niekiedy spokojny, a niekiedy wojowniczy, czasem religijny, to znów sceptyczny; stąd też wymagania wieku dzisiejszego różne są od wymagań wieków ubiegłych".

A jednakże nie bacząc na to, trzymamy się najczęściej starej rutyny — to też Masson brak za dni naszych postępu pedagogiki, tak określił:

„Wychowanie u nas znajduje się w chaotycznem położeniu, przedstawiając mięszaninę skoszlawionych ideałów, systemów sprzecznych, sposobów niezgodnych i rezultatów niepomyślnych — żaden z ludzi obdarzonych zmysłem spostrzegawczym zaprzeczać temu nie będzie; wszyscy czujemy niepodobieństwo pozostawienia takiego stanu rzeczy nazawsze; i również jasnem jest dla każdego człowieka myślącego, że przyszła zmiana tego rzeczy porządku, może nastąpić tylko przy pomocy tegoż samegopotężnego działacza, któremu zawdzięczamy postępy w innych działach powszechnego postępu".

Cel ten u nas w części przynajmniej osiągniętym być może, jeśli korespondenci Opiekuna Domowego zechcą nadsyłać Redakcyi własne spostrzeżenia i uwagi o jakich wyżej wspomnieliśmy. Korespondenci niepowinni się krępować brakiem wprawy stylowej, uważając listy za materyjał w którym przedewszystkiem wiernosć podawanych spostrzeżeńe winni mieć na uwadze.

Przypisek Redakcyi. Zgodnie z podanym projektem wszelkie nadsyłane nam uwagi przyjmiemy z wdzięcznością. — Ze swej strony dodajemy że ten sam cel mieliśmy na myśli podając w jednym z pierwszych numerów po objęciu przez nas Redakcyi, zagadnienia podwójne i drukując trafniejsze z nadesłanych nam odpowiedzi. Ponieważ dział ten i nadal prowadzić będziemy, przeto winniśmy tylko wezwać łaskawych czytelników naszych do szerszego niż dotychczas udziału tak w nadsyłaniu odpowiedzi na pomieszczone już zagadnienia jak też w podawaniu nam treści do nowych — zwuzględnieniem głównie praktycznej strony wychowania i nauczania. (*Przyp. Redakcyi*).

Stanisław Gargulski.

BIBLIJOTECZKA DOMOWA.

Pan Graba, powieść w trzech częściach przez *Elizę Orzeszko*. Lwów 3 tomy.

Powieść ta była najprzód drukowaną w *Tygodniku Romansów i Powieści* r. 1869 i 70; obecna więc odbitka w lwowskiej *Biblijotece* Romansów jest niejako drugim wydaniem, ze wszech miar zasłużonem. Jestto bowiem najcelniejszy z dotychczasowych utworów p. Orzeszkowej; obfitujący zarówno w myśli głębsze, wnikające w istotne potrzeby społeczne, jak i w sytuacyje dobrze pomyślane i artystycznie wykonane. Główny bohater *Kalikst Graba* jest skończonym charakterem ucywilizowanego niegodziwca: cynik, oszust nie ma w sobie żadnej szlachetniejszej strony, którąby mu pozwoliła przerobić się wewnętrznie. Z konieczności więc musi brnąć dalej, ciągnąc za sobą cały legijon niedołęgów, nie mogących się oprzeć pokusie złego, ubranego w pociągające oko szaty salonowości z jednej a siły demonicznej p. Graby z drugiej strony. Niepodobna w tem krótkiem sprawozdaniu wykazać wszystkich stosunków, w jakich ten prowincyjonalny Monte-Cristo dokazywał cudów przebiegłości i nikczemności; możemy tylko trzymając się głównej osnowy nadmienić, że najpierwszą ofiarą jego była żona, którą zjednał sobie ukształceniem, udawaniem dobrego i zapewnieniem dobrobytu dla jej starej matki.

Wlokła ona życie smutne, chciała się oderwać od tego galernika na wolnej stopie, ale nie zdołała. Pan Graba skończył samobójstwem. Dlaczego charakter ten, uposażony wszystkiemi przymiotami wyższego umysłu, obrał sobie tak nikczemną drogę postępowania; dlaczego zmarnował swoje talenta na wolty i imponowanie małomiasteczkowej gawiedzi? Na to pytanie p. Orzeszkowa odpowiada prostem wyrażeniem *brak mu było dobrego, rozumnego wychowania.* Jakkolwiek niepodobna przypuścić, ażeby na człowieka działała jedna tylko przyczyna; to przecież rozważając doniosłość pierwszych wrażeń i pierwszej nauki, trudno zaprzeczyć, żeby w zdaniu tem nie było istotnego rozwiązania choć pewnej części zagadki.

P. Ch.

ROZMAITOŚCI.

P. *Jakób Lewandowski*, magister weterynaryi wydaje dziełko: „O utrzymaniu zdrowia zwierząt domowych."

* *

Dr. *Adam Bełcikowski* wydał studyjum literacki: **O satyrykach polskich XVII wieku.**"

* *

W Poznaniu nakładem J. K. Żupańskiego wyszły: *Listy Hugona Kołłątaja* z lat 1792, 93, 94." Listy te zebrał i opatrzył wstępem p. **Lucyjan Siemieński.**

Дозволено Цензуром. — W drukarni Jana Jaworskiego, Krakowskie-Przedmieście. Nr. 415.

Wydawca, Wacław Szaniawski. Redaktor, Henryk Perzyński.

Patrz Dodatek.